Rok I. Kraków, dnia 5. marca, 1903. Nr. 1.

PRZYSZŁOŚĆ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI KSZTAŁCĄCEJ SIĘ MŁODZIEŻY

WYCHODZI 1. I 15. KAŻDEGO MIESIĄCA

WARUNKI PRZEDPŁATY: Dla miejscowych miesięcznie **80** hal., dla zamiejscowych **1** kor. Numer pojedynczy **40** hal. – Prenumeratę można także składać rocznie, półrocznie i kwartalnie.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Kraków, Garbarska 4.

Rękopisów nie zwraca się.

Słowo wstępne wypowiadane jako program nowo powstającego pisma bywa często sznurem, łączącym w jedną wiązkę najbardziej oklepane frazesy, lekkomyślne obietnice i olbrzymie zamiary. Frazesów strzeżemy się jak ognia, unikamy wszelkiej zapowiedzi, osłabia ona bowiem rozpoczęte dzieło. Nie wolno nam jednak uchylić się od jednej powinności, od określenia stanowiska, jakie w piśmie naszem zajmować myślimy.

Przedewszystkiem zaznaczyć nam należy, że polityki nie uwzględniamy. Zamiarem naszym badać społeczne objawy, w narodzie naszym, a szczególnie wśród młodzieży nurtujące. Każdą myśl, każdy czyn na korzyść sprawy narodowej zdziałany będziemy wedle sił naszych popierać i utrwalać bez względu na to, które ze stronnictw myśl taką poczęło lub czyn podobny zdziałało. Wszystko zaś, co sprawie narodowej jest wrogie czy szkodliwe, będziemy stanowczo zwalczać i piętnować. By zadanie to należycie wypełnić, uważamy za stosowne zająć stanowisko czysto przedmiotowe, wolne od szowinizmu i partyjności. Dlatego też nie przyłączamy się do żadnego z istniejących stronnictw i żadnego z nich wyrazem nie będziemy. Sumienny, a niezawisły wgląd w sprawy narodowo-społeczne – oto podstawa, na której pragniemy my młodzi budować nasze zasady.

Równorzędnym działowi społecznemu jest w piśmie naszem dział literacki. Będziemy w nim zamieszczali z zasady utwory autorów młodych, wybijających się dopiero lub zupełnie nie znanych, wyjątkowo dla wzoru i zachęty utwory autorów wybitnych, z których niektórzy przyrzekli już łaskawe swe współpracownictwo.

Redakcya.

REFORMA SZKÓŁ.

Jedną z najbardziej piekących u nas spraw jest reforma szkół. Czuje się całą słabość dotychczasowych ich urządzeń i systemów, wyrzeka na nie bardzo, myśli, czasem nawet i mówi o koniecznych zmianach na lepsze, zmianach gruntowych, szybkich — ale to wszystko...

Członkowie zwoływani na ankiety w tej sprawie uznają za stosowne zgromadzić się w sali obrad mniej więcej pilnie, kiwają w takt głowami, gdy jeden z nich zdecyduje się głos zabrać, poczem zmęczeni zbyt długotrwałą a „suchą" mową wychodzą na cygaro... Tak dni kilka, ankieta skończona, a jej rezultatem *status quo*... Smutne to, ale prawdziwe...

Ze zdziwieniem spogląda społeczeństwo po sobie, pytając się nawzajem: „Jakto, czyż niema już ludzi, którzy szczerze tej wielkiej sprawie oddani, nie poświęciliby się jej z całą mocą i chętną wolą?... Czyż ich to nic nie obchodzi, że całe setki sił młodych i zdrowych karłowacieją dzięki właśnie dotychczasowemu systemowi?..."

A karłowacieją i pod względem fizycznym i umysłowym... Boć przecież tych parę drążków i drabinek ustawionych na podwórzu szkolnem nie może rozwinąć sił ciała, kiedy ono zmuszone jest siedzieć bez przestanku i prawie bez ruchu przez pięć a dość często i sześć godzin w szkole... A umysł, czyż się rozwija bardzo?... O, prawda! Ukończony abituryent (o ile mu strach przed i przy maturze myśli nie pomieszał), potrafi dużo wyliczać i z „dziedziny" historyi i literatury i fizyki i matematyki, ba, on nawet Homera tłómaczy bez słownika, a Owidyusza żywot cały umie... To prawda! Ale czy to wszystko? A gdzie oryginalność myśli? gdzie swobodny krytyczny pogląd na sprawy choćby tylko literackie, jeśli już nie inne, jak n. p. społeczne, których się u nas nie „dotyka" wcale? Gdzie ów polot myśli nie zasuszonej i zamkniętej jak martwy kwiat w zielniku?...

Choć podnoszę rzeczy już stare i dobrze znane, ale to potrzebne, bo naprawy stosunków niema, wciąż o nią kołatać i wołać trzeba, mimo „znakomitość" dotychczasowego ustroju naszych szkół...

A przecież to sprawa najważniejsza, bo mnie się zdaje (biorę tu przykład bardzo prosty, znany), że mniej wstydu może przynieść nie umienie wyliczenia wszystkich dzieł nieboszczyka Cicerona, lub utykanie nad tłómaczeniem „miejsca" z Sofoklesa, albo

Tacyta, niż nieznajomość istotnej wartości literatury greckiej, nie odczucie jej piękna, lub też nieudolność zdania sobie sprawy co do wartości literackiej, artystycznej z przedłożonego dzieła, czytanego, słyszanego albo widzianego na scenie... Zresztą po co przytaczać przykłady, skoro dzień każdy setki ich zawsze przynosi..

To też z radością i entuzyazmem niemal wita się odezwę (wyszłą w tych dniach) Towarzystwa: „Zreformowanie wychowania i nauczania".

Wszystko co złe, co boli nas młodych, jako uczniów dotyczących szkół, zostało tam podniesione; bezwzględnie napiętnowano ową „duszną atmosferę formalizmu i pedantyzmu", zwrócono uwagę na fakt ów, iż ciągle się woła... ale o „ilość, a nie jakość szkół..." Pomijam już to, co również nieocenione słowa tej odezwy podnoszą, że nasze zakłady naukowe nie wyrabiają charakterów, lecz owszem paczą je; wiemy to aż nadto dobrze, bo sami tego świadkami jesteśmy...

„Potrzeba więc reformy gruntownej a szybkiej" — oto konkluzya omawianego słowa wstępnego (że tak powiem) tego Towarzystwa...

I strach pomyśleć, jeśliby wołanie to miało przebrzmieć bez echa, zwłaszcza u nas młodzieży!

Bo na wyższe i oświeceńsze warstwy społeczeństwa oglądać się trudno... Oto wiemy już, jak jedno niby z najpoważniejszych pism krakowskich, odezwę tę przyjęło, jak gdyby ona do krwawej rzezi podżegala... wiemy, jak mało jednostek przejęło się jej słowami, podnosząc glos w tej sprawie...

A przecież ci sami ludzie, mimo uszu, których te slowa przebrzmiały, głoszą owe cudowne zdanie (jeśli nie frazes), iż „młodzież to kwiat spoleczeństwa, to przyszłość narodu..." Ale żeby ta przyszlość byla piękna, chlubna — to im obojętne...

Dlatego też, jeśli starszyzna, „dojrzala" część spoleczeństwa nie chce się tą sprawą zająć, a gdy znajdą się ludzie, którzy jej poświęcić się pragną, reszta od nich się odsuwa, ignoruje ich milczeniem lub nawet o „złą wolę" posądza — to, któż inny jest powołany do tego, by garść owych ludzi dobrej woli i szczerej życzliwości dla nas popierać, jak nie my?...

Trzeba tylko chęci i pracy; bo wahanie się nad współudziałem w tej sprawie wykluczone; tak ona ważną i wielką.

X.

WSZYSTKIM PRZEBACZĄĆ....

Wszystkim przebaczać. — Wszystkim zawsze — wszędzie,
A mieć serce gołębie i czystość anioła
I czynami słów prawdę szerzyć dookoła —
Oto jest Chrystusowe na ziemi orędzie...

W słoneczność dnia uwierzyć, który kiedyś będzie
I w cnotę, co zwyciężyć nieprawości zdoła,
I w prawdę, która wszystkich ku sobie powoła
I szczęściem smug niebiańskich dusze im oprzędzie...

Wszystkim przebaczać!... I, królestwo Boże
Tworząc na ziemi niezwalczone niczem,
Przejść przez to życie z świetlanem obliczem,
Na którem miłość świeci, jako zorze,
I w chwilę śmierci, tak jako łabędzie
Miłości hymnem bić w nieba krawędzie!!..

Daniel Paweł Śliwicki.

Z WOLNYCH ŚPIEWÓW:

ŚPIEW O CZUJNEJ DUSZY.

Rzekł, i usłuchała głosu Jego dusza moja.
W zamczysku osiadła odwiecznem i czuwa.
Spowita w półmroku jedwabie raduje się mnogością widziadeł.
Nie mrozi jej grobowy chłód, wiejący od zszarzałych ścian.
Spróchniałaś przeszłości, lecz żywe duchy twoje!
Pokutnicze duchy, nauczycielami bądźcie młodej duszy mojej.
Nieśmiertelności jasne dajcie zrozumienie, z ziemskich wyzwólcie ją pęt!
Bogaciej duszo!
Z komnaty przechodź w komnatę, w wyblakłych portretów patrz lica, na zbrojach zardzewiałych krwi wyszukuj ślady, z pożółkłych ksiąg czerpaj tajne opowieści. Królewskie przyoblecz purpury, na obiaty duchów pilnie spiesz!
U wierzei ktoś kołace . . . .
. . . .

Nie wejdziesz do zamczyska płowowłosa dziewo,
Miłości skromna pieśniarko!
Choć nietknięty czar upojeń w piersi niesiesz, pierś żądzą drga,
a czar durzy już z oddali, jak jaśminu silna woń.
Choć mi łoże chcesz wyścielić puchem mchów,
na wezgłowie dzierżysz w ręku róż bielistych pęk,
i tak smętnie w takt poruszasz cichej cytry srebro strun...

Nie rozwieraj krat żelaznych wierny giermku cudnej dziewie,
zórz siostrzycy, marzeń brance, cichych pragnień żywicielce,
pragnienia te stal siły gną.
W sen popadnę, gdy wejdzie pieścić, nucić, smętki prząść,
do trun powrócą duchy.

Dzień był słoneczny, dzień był wiosenny, gdy u stóp zamku dziewa — trwała — pieśń.
Wieczorem cichym śpiew pożegnalny w krainie rozbrzmiał ugorów pól...
gdy po kobiercu, przez księżyc usłanym,
od zamku odeszła pieśniarka — Miłość, pieśniarka — Ból.

Bogaciej duszo!
Słysz pogwar fali, co wiernie uderza o podnóż strażnicy twej.
Wieści ci niesie z ojczystej krainy, czy żyw jest naród, czy myśl się mnoży, czy wielkie kochanie serc milionem włada, Harmodios i Aristogeiton czy się narodzili?
U wierzei ktoś kołace . . . .
. . . .

Mędrkowie Panie pragną mówić z Tobą!
Niosą w pism zwojach Prawd odkrytych moce.
Świat pragną zbudować na nowych ostojach.
Widzenie mieli w głąb Bożego Ducha.
Mądrości Twojej udzielą pomocy.
Czarne ich stroje i zakryte lica.

Precz prawdo, w czarną spowita oponę!
Nie wejdziesz do zamczyska, gdy ukrywasz lica!
Nie żądna dusza służalczej pomocy, gdy sama czuwa!
Precz od wierzei kłamliwi prorocy!

Dmą wichry, chylą się drzew szczyty, za obloki uszły gwiazdy migocące. W ciemni tysiącem żądz dyszącej, burzą wściekłej nocy przepadli mędrkowie.

Bogaciej duszo!
Niech ciebie nie zmorzy czuwanie. Patrz w fale, jak chyżo niosą trupów całe stosy. Na niebie łuna, zda się płoną wicie. Czy słyszysz wrzawę wciąż przelotnich ptaków. Coś się dzieje. Może Heros nastał — Perseusz? Ściął głowę Meduzie, twórczyni skamieniałości serc i ducha niemocy? Z karczydła ohydnogłowej Gorgony Pegazos narodził się nowy, by roznosić serc milczące prośby, myśli płoszyć bezskrzydłe ptaki, w przepaście gnać bezpłodne zwątpiałe twory?
U wierzei ktoś kołace . . . .
. . . .

Wpuść giermku do zamczyska zdrożonego gońca. Szara od kurzu jest jego opończa. Wysilon biegiem padł rumak w podwórzu. Wpuść giermku spraw wielkich zwiastuna.

Gończe wieści?

W narodzie wróżda...

. . . .
. . . .

Żegnajcie duchy! Ostatnią z wami przebywam dziś noc. Bogatą już jesteś duszo moja. Wdziej na się pancerz, ze srebrnej wykowany blachy, hetmańską buławę w dłoń chwyć i z natchnień paleniska:

żarem na kuźnic zastygłe ogniska,
żarem na zbóż zasianych kiełkujące łany,
żarem na łon kobiecych noworodne płody,
żarem na mężów rozpoczęte dzieła,
żarem na Nieśmiertelności wieczne pożądanie!

Lipcowy poranek. Przecudny wokoło róż mgieł. Pierwsze pacierze świerszcze odmawiają. Kwiaty nie wypiły jeszcze rannej rosy. Jak cicho. Skwarny przyjdzie dzień i ciężki będzie znój...
Nie harfę złocistą, kopię do dłoni wprzód giermku mi daj. Zanim wieczór dziś nastanie mnogo mam utrącić ciał. Padnie wszystko, co niepłodne, co zawodzi, zwątpień szczepi jad, do snu sła.
A gdy padnie — harfę giermku dasz mi moją i zabrzmi Pieśń.

Nie Pieśń dziewa płowowłosa, co tak smętnie w takt porusza cichej cytry srebro strun.
Pieśń – płód bogatej duszy, co czujna trwała przez mnogo lat,
Pieśń — Mąż, Rodziciel dzieł,
Pieśń – Wielkość, Potęga, Moc
Pieśń – Sława, Światłość — ulegnie Noc.

Strzemiennego wy pijecie zamczyska mieszkańce?
Coście wlali do tej czaszy, co tak silnie lśni?
Czuję napój ten w mych żyłach, czuję napój w mojej krwi.
Koń mój parska, ptactwo śpiewa, zwycięstw wielkich wróżą sławę.
Piłem napój silnej Wiary, męstwem silna moja pierś.
W drogę giermku, zanim wjedzie rydwan słońca, w dali nam należy być.

Jedziemy w bój.
A dusza, której bogactw tyś użyczył, tak się modli do krzyżów Twych:
Jak w Wszechmoc wierzę Twoją Panie, niebios i ziemi Stworzycielu i w Odkupienie świata przez Twojego Syna, Tak w Pieśni Moc przepotężną wierzę, niebios błogosławionej Córy, przez którą światów nadejdzie Odrodzenie i narodów....

Roman Jaworski.

Kraków 23. lutego 1903.

DZWON.

(Stryjowi...)

Jęczy dzwon... stary dzwon...
Spoczął na nim cały wiek;
To też ton — dzwonu ton
Cały nieszczęść głosi bieg.

Płacze w głos... skarży w głos,
Jakby nam przypomnieć chciał
Każdy grom, każdy cios,
Wszystkie bóle, łzy i szał...

Czasem też... silniej mu...
Serce w piersiach z bólu drgnie,
Jakby chciał zbudzić z snu
Wszystkich razem... bośmy w śnie!...

Smutno mi..., gorzko mi...,
Bo ten dzwon wydzwania wiek,
W którym tkwi — silnie tkwi —
Naszych nieszczęść cały bieg.

Potok skarg... płynie w dal...,
Łamie kwiaty, drzewa gnie...
Dzwonu ból... — dzwonu żal...
Może serce zbudzi gdzie...

Smutno mi..., gorzko mi...,
Bo ten dzwon wydzwania wiek,
W którym tkwi — silnie tkwi —
Naszych nieszczęść cały bieg.

Kończy bić — przestał bić,
Milknie dzwonu dźwięczny ton...
Ja chcę śnić — słodko śnić,
Że wydzwoni szczęście dzwon...

Antoni Balicki.

Z KRAKOWSKIEJ CZYTELNI AKADEMICKIEJ.

Zastrzegam się już z góry, iż nie myślę występować tutaj wrogo przeciwko Czytelni i nie mam na celu szkodzenia jej w jakikolwiek sposób. Pragnę tylko przedstawić zupełnie bezstronnie stosunki, jakie teraz tam panują, wykazać braki jej i wady, a przez to skłonić organa, władzę tam dzierżące, do naprawienia złego.

Dosyć długo toczono z początkiem tego roku walkę o to czy Czytelnia ma prawo nosić miano „ogólno-akademickiej;“ sprawa ta była przedmiotem obrad dwóch komersów i w końcu pozostała nie rozstrzygniętą, głównie z powodu jednego z obecnych, który do tego stopnia potrafił zająć ogół swoją osobą — iż przez cały czas trwania trzeciego komersu obrady tyczyły się wyłącznie jego. Sprawa cała tak mało obchodziła ogół akademików, iż nikt już nie ośmielił się zwoływać czwartego w tej sprawie komersu, wiedząc dobrze, iżby się naraził na śmiech. Czy Czytelnia może nazywać się „ogólno-akademickiem stowarzyszeniem“ czy nie, nas na razie nic to nie obchodzi; rozstrzygnięcie tej kwestyi odkładamy na później, teraz ograniczamy się głównie do analizy

stosunków w Czytelni tej panujących i do rzeczowego przedstawienia jej zewnętrznej działalności.

Najważniejszem jej zajęciem jest urządzanie bali, festynów i obchodów narodowych. Bale i festyny — ma się rozumieć na cele społeczne; obchody narodowe wszystkie o jednym programie; a więc uroczysty poranek albo wieczorek — jak czasem — na którym najpierw wygłasza się szumne przemowy, potem następuje gra na skrzypcach, potem deklamacya, potem każdy z zaproszonych gości wpisuje się do księgi pamiątkowej po raz dziesiąty już z rzędu — a rezultat całej tej szopki — kilka florenów na tacy — znowu na cele społeczne. Obchody te, dające pewnym jednostkom częstą sposobność do popisywania się, chybiają celu, nie odpowiadają naszym wymaganiom w tym względzie i nie przynoszą projektowanego rezultatu, zaspokojenia poczucia narodowego — lecz stają się, jak słusznie podniósł Wyspiański w „Wyzwoleniu": „niepotrzebnem robieniem polskości". Nie jestem przeciwnikiem wszystkich tych obchodów, bali i festynów — rozumiem, iż rzeczy takie musi Towarzystwo urządzać — chcąc osięgnąć środki materyalne potrzebne dla swej egzystencyi — ale przecież nie powinno to tworzyć już całej treści działalności wydziału Czytelni.

Przypatrzmy się teraz celom społecznym, na jakie Czytelnia zbiera pieniądze i urządza bale, festyny i obchody uroczyste. Pierwszy najważniejszy, to budowa Sanatoryum akademickiego w Zakopanem. Prawda, cel wzniosły i ładny, ale to jeszcze resztki tej dawnej Czytelni, z czasów jej założenia i z pierwszych okresów jej działalności. Spuściznę tę musiała Czytelnia dzisiejsza podjąć, tem bardziej, że są jeszcze ludzie, którzy te dawniejsze czasy pamiętają i za sprawą by się ująć umieli. Ale i sprawa Sanatoryum przestała już być teraz gorąco traktowana. Dlaczego? Bo zaczęto zajmować się myślą, poruszoną już dawniej, a mianowicie, sprowadzeniem zwłok Słowackiego do kraju. Znowu myśl ładna, cel szlachetny, więc dalej do roboty; na gwałt zwołano grono obywateli, profesorów, dziennikarzy na posiedzenie i przedstawiono im całą sprawę. Ci, dosyć politycznie, ustępują i zostawiają całą akcyę młodzieży; organizuje się więc zupełnie nowy komitet, wybiera przewodniczącego, zastępcę przewodniczącego, sekretarza i przeznacza dochód z jakiegoś wieczorku i część dochodu z balu na ten cel. W najnowszych czasach zaczęto zbierać fundusze znowu na inną rzecz — na wykupno domu Mickiewicza w Konstantynopolu. W komitetach tych pracują jedni i ci sami ludzie. Skądże ma im starczyć czasu na tyle zajęć, posiedzeń: komitetów, wydziału

sekcyi? Nie można od nich wymagać przecież, by się rozerwali i mogli wszędzie skutecznie pracować. Wszak myśmy wszyscy akademikami, pierwszym naszym bowiązkiem pracować na uniwersytecie, praca nad samym sobą, samokształcenie się, resztę dopiero wolnego czasu możemy i powinniśmy poświęcić na tem podobne sprawy. Sądzę, że gdyby za tydzień rzucono w Czytelni myśl, zajęcia się sprawą Wawelu, zaraz przyjętoby ją z aplauzem, wybranoby natychmiast komitet ogólny, potem ścisły i przeznaczonoby dochody z wieczorków i z festynów znowu na ten cel. Mojem zdaniem: „dwa grzyby w barszcz, za wiele". Czy nie lepiejby było ograniczyć się do Sanatoryum, pieniądze tylko na ten cel przeznaczać i jak najprędzej zakończyć jedną pracę, aby się módz spokojnie zabrać do drugiej — a nie partaczyć od razu dwóch?

Może myślałby kto, iż prace w tych wszystkich komitetach są świadectwem żywotności Czytelni? Mojem zdaniem nie! Zbierać składki, naciągać ludzi na kupowanie bloczków potrafi tak samo dobrze Przyjaźń krakowska jak i Czytelnia akademicka.

W Czytelni widać to wahanie się, przeskakiwanie z przedmiotu na przedmiot, gorączkowe chwytanie się coraz to nowej myśli — brak pewnego prowadzenia ze strony prezydyum, brak wytkniętego celu pracy. To jest głównym błędem i powodem, iż na każdym kroku słyszymy o Czytelni zdania nieprzychylne: „towarzystwu temu brak żywotności, brak szczerej idei" — „esencyą jego to bilard" — „główną rolę gra tam prywatna ambicya jednostek". Smutne to, ale niestety w większej nawet części prawdziwe.

Podtrzymują jeszcze Czytelnię Podwawelanie, ale i tam już kiełkuje myśl odłączenia się od niej.

Nie brak jej członków — liczy ich przeszło 200 — ale jakich. Jedni pracują w wydziale ciężko nad zmianą statutu i regulaminu bilardowego, urządzają bale, prowadzą tańce, jeżdżą do Wieliczki, Bochni, Wadowic — drudzy urządzają wieczorki, deklamują, występują w przedstawieniach amatorskich, ba nawet statystują w teatrze. Reszta rżnie w bilard, gra w warcaby, w szachy i czyta „Dyabła", „Śmigusa", „Fliegende", „Megendorfer" etc. Są wprawdzie jednostki wybitne, odróżniające się od tego szarego tła, które jednak albo nie chcą mieć nic z Czytelnią wspólnego i należą tam tylko dlatego, aby mieć gdzie przeczytać bieżące czasopisma, albo, jeżeli chcą panujące tam stosunki zwalczać, borykają się przez czas dłuższy i nakoniec usuwają się zniechęceni intrygami kliki, władzę w Czytelni dzierżącej.

Braki te i niedostatki szkodzą Czytelni wielce, sanacya stosunków tamtejszych jest niezbędną — potrzeba kilku ludzi, którzy wspólnemi siłami potrafią usunąć grożące jej niebezpieczeństwo i pchną ją na zupełnie inne tory, bo inaczej?...

Jeden z członków.

ADOLF NEUWERT NOWACZYŃSKI.

FACECYE SOWIZDRZALSKIE.

Nie żądajcie od Nowaczyńskiego „mistycyzmu Calderona, inspiracyi Angelusa Sileziusa, ani języka Swinburna, nie żądajcie od niego purytanizmu Kwakrów, głębi Dantejskiej, ani logiki Kartezyusza“ etc. etc.

Jak ów rotmistrz jazdy, który zamknięty w oblęganej twierdzy, kazał konie biczować, „aby im zbyt nie zaszkodziło przydługie stanie“, każe sobie Nowaczyński, „z obawy o oblęganą i głodzoną umysłowość naszą, chłostać swój oddział koni Bożych w krytyce współczesnej“.

Wziął więc bicz do ręki, którym włada z żonglerską wprawą cyrkowego klowna i objechał Polskę, aż po *ultima Thule,* robiąc przegląd „swojego oddziału koni Bożych“.

Kto tylko w Polsce ośmielił się ruszyć piórem, został uwzględniony w „Małpiem Zwierciadle“, lub w „Facecyach Sowizdrzalskich“. Ci, co wyszli cało, mogą być pewni, że ukażą się jeszcze jakie „Nowe Facecye“, albo „Nowe Zwierciadło małpie“, w którem się snadnie przejrzeć będą mogli.

Że Now. wybrał tę formę pisania, to rzecz jego talentu Powiada sam, że »*difficile est caricaturam non scribere* .

Jeżeli kto chce wytłómaczyć n. p. prof. Mazanowskiemu, że cała jego działalność na niwie literatury polskiej ma to znaczenie, że można się z niej nauczyć, jak się pisać nie powinno, to pozostanie mu do osiągnięcia tego celu ta droga, którą obrał Nowaczyński, chyba, żeby krytykiem prac p. Maz. był n. p. Nowiński, p. Jeske-Choiński „lub inny p. Flach“.

Now. nie krytykuje — lecz karykaturuje; nie rozbiera, nie sądzi — lecz ośmiesza. Wymyśla jakieś anegdoty, facecye i różne *bons mots* i w niezrównany sposób przedstawia całą śmieszność danej osoby. Posługuje się przytem przesadzonym, barokowym językiem, który do tego właśnie celu doskonale się nadaje.

U nas dzieją się różne dziwy. *Chez nous, chez nous*, panie dobrodzieju, rzeźnicy decydują o przyjęciu dzieł Przybyszewskiego na scenę, chociaż Przybyszewski nie zabrał jeszcze głosu w kwestyi podniesienia ceny mięsa wieprzowego (podobno już podrożało).

U nas drukuje się sonety o jakimś placu rzymskim, zaczynające się: „Plac to dwa razy dłuższy, niż rynek krakowski", lub: „Rzymu wielki, Rzymu święty". U nas pojawiają się aprobowane przez c. k. Radę szkol. kraj. „Wypisy polskie" *) lub (nie wiem czy także aprobowana) „Młoda Polska" — twory p. Mazanowskiego. U nas p. Jozafat pisze krytykę Przybyszewskiego, a p. Jeske-Choiński lub Gawalewicz psychologiczne powieści. U nas kto nie jest Gomulickim, albo innym Krechowieckim — jest dekadentem, kto nie czyta „krytycznych prac naukowych nad talmudem jednego jegomościa a czyta „Legion" Wyspiańskiego — jest ateuszem.

U nas to wszystko nie jest facecyą Sowizdrzala.

Nowaczyński jest więc tym pisarzem-cynikiem, który zdziera białe zasłony z prostytutek, demaskuje oszustwa patryarchów, odsłania zgniliznę w ogniskach domowych. Jest tym »*le Cruel*«, na którego wspomnienie drżą „wszystkie miernoty". A drżą, bo śmieszności ludzie najbardziej się boją.

Now., wsiadlszy jednak na swego satyrycznego pegaza, zajechał za daleko. Niektóre ustępy robią wrażenie, jakby wyszły z »*Cloaca Maxima*«. Żal po prostu, że znajdują się tutaj, kiedy odpowiedniejsze dla nich miejsce byłoby w „Bocianie", a czepianie się, kogo jak kogo, ale Miriama i zato, że umieścił dla swojej arystokratycznej sztuki redakcyę „Chimery" na ul. Książęcej a nie na Gnojnej, zupełnie nie dowcipne. Natomiast „List Miriama do Lacka" ma być świetnie naśladowany. Również znakomitem naśladownictwem maniery Lacka jest „Studyum o Biegasie", „Wycieczka Gawalewicza i Stachiewicza do Rzymu", „Dostojny pejzaż", „Bajka o Gebethnerach i Wolffach" — świetne.

Jeżeli sprawdzi się, co p. Benedyktowicz powiedział o Nowaczyńskim, że jak skorpion otruje się swoim jadem, to przedtem wytruje jednak różne ślimaki, glisty, pędraki i inne sympatyczne postacie w naszej krytyce i literaturze. *l.*

---

*) Mającym wątpliwość co do twórczości p. Maz. radzimy przeczytać n. p. z jego „Wypisów" streszczenie „Pana Tadeusza", lub jakiego utworu Słowackiego. Na takich książkach młodzież kształci styl, umysł!

Z TEATRU.

(Kilka myśli nad „Wyzwoleniem“*).

„Duchowi naszemu dał Wyspiański w pysk“ — śmiało powiedzieć możemy za Fantazym z „Deaniry“, czytając i oglądając jego „Wyzwolenie“ na scenie...

To wszystko, co się przesunęło na deskach teatru krakowskiego, *teraźniejsza, nasza Polska współczesna,* wszystko to — zapowiedział tak Reżyser — było odtworzone „sercem szczerem“, jednak przez przybranie „pozy...“

O, bolesny dla nas ten tłum ludzi rozgatunkowany na partye i partyjki, robiący wszystko dla imienia: równości, braterstwa, łączności ku wspólnemu celowi, jakim jest Ojczyzna, czyniący wszystko tylko zapomocą „pozy“ i „wypowiedzenia“ ról, steku frazesów, przejęty (jeśli wogóle przejęty!) tem, co mówi, na godzinę lub dwie, jak aktor grający na scenie...

A jest tam policzek i dla nas młodych wymierzony silnie, a bezlitośnie...

Jest tam młodzieniec przez ojca w świat wprowadzany, który na widok harfiarki zapomina o sobie, o wszystkiem, oddaje się jej całą duszą i ciałem, choć tej pieśniarki harfa „Nic!“ tylko wydzwania... Poszedł za nią, zniknął ze sceny, choć ona mu „Nic!“ śpiewała, zapominając, że dla sprawy narodu „mógłby być czemś, a stał się niczem...“

„Wnętrzem trzewiów naszych zatargał“ autor „Warszawianki“, „szczeknąć z boleści musimy“, a przecież nie ośmielimy się przekląć go, „bo nie mamy władzy... **Niewolnicy!...**“

Boli ta sztuka bardzo, słowa jej wżerają się w nasze ciało, piekąc jak węgle rozżarzone a ujść, schronić się przed nimi, czyż zdołamy?...

I strach pomyśleć, jeśli te rany, które nam Wyspiański niemiłosiernie odkrył, są prawdziwe, biada nam, jeśli się nie omylił twórca „Wesela“?...

Gwałtem chcielibyśmy przeciw temu zaprotestować, ale zamiera nam głos w gardle i choć z jękiem musimy jednak wyszeptać... „Poeto, to prawda, ale my nie c h c e m y, żeby to prawdą było...“

To jedno, co powiedzieć możemy... „chcemy zapomnąć o tem, coś napisał w akcie pierwszym, chcemy wmówić w siebie, żeś Ty

---

*) Rozbiór tego dzieła ze względu na wartość literacką, jako też ocena gry artystów nastąpi później. (Przyp. Red.)

nie nas w współczesnej Polsce przedstawił, chcemy pamiętać tylko Twe ostatnie słowa: „Więzy rwij!“

. . . .

Wystawiona 21. lutego „Noc świętojańska“ (Sonnwendtag) Karola Schönherra nie jest dramatem tak złym, za jaki go uznała miejscowa krytyka...

Treścią jego to ta codzienna walka między stronnictwem „wolność i braterstwo“ głoszącem, a ludźmi broniącymi „stary porządek rzeczy“, odpychającymi „nowatorów“ z miasta przybyłych całą mocą swej woli i charakteru...

Któż więc ma słuszność? Kto naprawdę działa dla dobra ogółu, pragnie lepszej i pewniejszej przyszłości?...

Schönherr postawił naprzeciw siebie oba obozy, obu stronnictw „głowy“ występują z zarzutami naprzeciw siebie...

Jedni i drudzy piętnują wzajemnie „złe czyny“, ucisk ludu, jedna strona wmawia drugiej, iż właśnie ona jest powodem jego biedy i nędzy... A więc kto więcej winien?...

Pytania tego rozstrzygnąć autor „Nocy świętojańskiej“ nie chce, zostawiając je do odpowiedzi widzowi, lub czytelnikowi...

I to jest główną zaletą tego dramatu o niezmiernie skomplikowanem a naturalnem zawikłaniu, o scenach bardzo silnych i przejmujących...

Sztukę grano bardzo starannie... Na pierwszy plan wybił się zdaniem mojem bezwarunkowo p. Sosnowski, który w scenie zabicia brata miał wiele siły i zaciętości a w akcie ostatnim grozy, wreszcie rezygnacyi...

Nie miał zaś tej siły n. p. p. Jednowski, którego, jako głowę partyi, człowieka mającego tłumy za sobą porywać, wyobrażałem sobie z większą energią, pewnością siebie i mocą charakteru...

P. Tarasiewicz, nie wiem, czy nie był w złym humorze, ale grał za zimno; sceny z matką, z bratem nie stały (mojem zdaniem) na wysokości sytuacyi...

Natomiast p. Wójcicka zwłaszcza z końcem aktu 3 (gdy się dowiaduje o postanowieniu syna) i w akcie ostatnim grała znakomicie.

Scena zaś rozbierania ołtarza była wprost przepyszną...

J. J.

UWAGI.

Senną jest nasza prasa — weźmy pierwszy lepszy numer jakiego dziennika, cóż znajdziemy? Bombastyczny lub brutalny

artykuł wstępny, korespondencyę zagraniczną z wielkiem zamiłowaniem piorącą obce brudy, parę przygodnych artykułów i kronikę bardzo szczegółową, kwieciście a z prawdziwą znajomością rzeczy napisaną, o szulerce, morderstwach i rozmaitego rodzaju łotrach, jak krajowych tak i zagranicznych; słowem o wszystkich danemu publicyście znanych skandalach rzeczywistych i wymyślonych.

Czasami trafi się krytyka „literacka“, ale i to trzeba tak niezwykłego zjawiska, jak nowy utwór Wyspiańskiego, aby redakcye uczuły potrzebę natychmiastowego zamieszczenia ocen i o postaranie się o jaką taką wartość owych ocen. Szereg, po większej części nic nas nie obchodzących depesz zwykle zamyka treść pisma codziennego.

To co obchodzi całe społeczeństwo najżywiej rzadko bywa rzeczowo omawiane, zwykle podobnego rodzaju sprawy spotykają się z głuchem milczeniem w prasie.

O tem, że liczba analfabetów wzrasta, że Lwów i Kraków przodują co do śmiertelności przed innemi, większemi miastami Europy, o tem, że zwyrodnienie fizyczne naszego ludu zaznacza się coraz wyraźniej, że lud ten jest chyba najbrudniejszy w Europie i że źle się odżywia, o tem..., ale dość tej martylologii, dość, że o wszystkiem co jest ważnem, co się dotyczy kwestyi naszego bytu milczy się — natomiast rozprawiają panowie publicyści o... „zakładach kąpielowych dla psów w Ameryce“,*) ale nic nie piszą ci publicyści, ilu Polaków ginie w tejże Ameryce, że intelligencya nasza rozłazi się po całym świecie, chociaż w domu brak jej wielki. — My jak żydzi rozproszyliśmy się po całym świecie i niemasz już kraju gdzieby nas nie było! I wiele, wiele innych spraw ważnych czeka na załatwienie, a nie mogąc się tego doczekać, same się załatwiają, jak n. p. emigracya. Jest kilka spraw, które mamy zamiar w najbliższym czasie poruszyć i tak n. p. sprawę domu zdrowia dla młodzieży kształcącej się, przy tej sposobności pomówimy o Bratniej Pomocy w Zakopanem. A co my wiemy o Rosyi dzisiejszej, którą godziłoby się bardzo starannie poznawać; wiemy o niej coś z korespondencyi via Berlin otrzymywanych, ale czy to pośrednictwo jest dobre i pożądane?

Ale co tu mówić o braku zainteresowania się Rosyą, gdy n. p. na wiadomość „Głosu Narodu“ o tem, że Polacy w Berlinie zamieszkali, po krótkiej ale zaciętej walce pogodzili się i złączywszy się w narodowem braterstwie chcą wspólnie żyć, pracować

---

*) „Głos Narodu“.

i walczyć, nie zwrócono należytej uwagi. Wprost już oburzającym jest stosunek macoszy prasy do ruchu narodowego na Śląsku i do sprawy postawienia polskich kandydatów na posłów; nie tylko, że nie niesie się żadnej pomocy, ale nawet wiedzieć nie chcemy co się tam dzieje, bo żadne zdaje się z pism nie posłało tam swych korespondentów.

Na zakończenie proszę pozwolić powiedzieć słów kilka o „Wyzwoleniu". Pierwsze uczucie, jakiego się doznaje po skończeniu sztuki, mózg i wyobraźnia wstrząśnięte i pobudzone z natężeniem pracują, fizycznie jest się zmęczonym, tak że trudno jest skupić uwagę. Nie jest mojem zadaniem pisanie krytyki, chcę tylko wypowiedzieć parę myśli. Najpiękniejsze i najpotężniejsze wrażenie robi natchniona pieśń Konrada w akcie drugim; cala scena z geniuszem w akcie trzecim i w tymże akcie zakończenie dramatu strasznymi krzykami erynyj „na rzeź, na rzeź!". Pieśń jest najbardziej poetycznym ustępem dramatu, prawdziwą jego perłą. Scena z geniuszem jest najwspanialszą — tłum — bezmyślny, powaśniony i zarozumiały a jednak tak żądny jakiej gwiazdy przewodniej; tłum ten porwany wymową geniusza już już chce pójść za nim, choćby do lochów i grobów, ale zobaczywszy w tejże samej chwili żagiew pożogi bez wahania prawie odstępuje wzniosłych haseł i celów geniusza i precz go odpędziwszy idzie pijany żądzą zemsty na rzeź. Najdramatyczniejszym tu i najboleśniejszym momentem jest milczące oddalanie się geniusza; robi to wielkie i straszne wrażenie. Ostatnia scena jest prawdziwie tragiczną, bo Konrad zechce czy nie — musi iść i prowadzić innych na rzeź. „Wyzwolenie" ma pewne wspólne cechy z „Weselem" i to częściej ujemne i tak wyprowadzanie w maskach znanych osobistości jest rzeczą zbyteczną — trochę to urozmaica tak wielce nużący akt drugi, ale mimo to razi.

Wyspiański myślą i sercem obejmuje całą Polskę, ale w jego przedstawieniu często nie jest to cała Polska, ale jej część — Galicya, i to jest bardzo wielkim brakiem utworu; dramat, w całem tego słowa znaczeniu narodowy otrzymuje chwilami barwę i charakter prowincyonalny. Jeszcze jedna uwaga: w „Wyzwoleniu", chłopi grają zupełnie bierną rolę, oni biorą karabele i lite pasy, a oddają im to jako rzecz już niepotrzebną i przytem oni nic nie mówią, do niczego nie dążą, są jeszcze surowym materyałem.

Znamiennem byłoby to zjawiskiem — czy jednak jest tak w istocie? Głosowanie chłopów w sprawie wniosku Daszyńskiego gdy chłopi, pomimo podjudzań, stanęli jak jeden człowiek po stronie Koła, dowiodłoby czego innego. *J. A. N.*

Właściciel i wydawca: **Antoni Balicki.** Redaktor odpowiedzialny: **Adam Wilusz**
Czcionkami drukarni Literackiej w Krakowie pod zarządem L. K. Górskiego